

PRAKTYCZNY MAŁ



Monter: — przepraszam, że tak późno przychodzę.

Właściciel mieszkania: — Nic nie szkodzi. Już prawie nauczyłem pływać moją żonę.

Apel

Legii Akademickiej

W Poznaniu odbył się w niedzielę pierwszy uroczysty apel legii akademickiej, w którym wzięli udział studenci wszystkich wyższych uczelni poznańskich.

Historia fundacji St. Staszycy

100 chłopców uczy się i pracuje w zakładzie pracy

Apel do Warszawy: nie wyrzucajcie przekwitłych kwiatów

20 sierpnia 1824 r. ks. Stanisław Staszyc testamentem swym przeznaczył 200 tys. zł. na założenie w Warszawie domu zarobkowego. W r. 1830 powstaje na ul. Wolskiej zakład pod nazwą „Dom Przytulki i Pracy”. Różne i dość niezwykle koleje tego domu przez następne 100 lat istnienia. Przytułek dla włościan, areszt dla młotów społecznych, szpital wojskowy, więzienie dla przestępców politycznych, wreszcie od roku 1883 szpital wojskowy, więzienie dla przestępców politycznych, wreszcie od roku 1883 mieści się tu szpital t. zw. Wolski. Przeznaczenie Fundacji Staszycy nie znajduje ścisłego wykonania woli zmarłego. Wreszcie gdy Rosjanie w latach Wielkiej Wojny wywożą dużą część pieniędzy zapłaconych przez fundatora fundacja właściwie przestaje istnieć.

W SETNĄ ROCZNICĘ

Dopiero w setną rocznicę śmierci gmina warszawska wznowia fundację wyznaczając na jej odrodzenie 600.000 zł. Realizacja myśli Staszycy następuje z końcem r. 1934.

Dziś w domu przy ul. Wolskiej 4 mieści się zakład pracy dla niezdolnej młodzieży 100 wychowanków odbywa praktykę w warsztatach

ślusarsko - snycerskich i zdobniczych, hoduje kwiaty i uczy się w wieczornych szkołkach dokształcających.

Posesja jest nieduża, podzielona na kilka budynków. W środku podwórko, ogródek jordanowski i kilka ciaplarni. Ciaplarnie to chluba wychowanków Fundacji. W szklanych domkach, gdzie ciepło w największym mrozie dochodzi 20 stopni, kwitną piękne bzy, barwne hortensje, prymule, rozłożyste azalie.

BZY, PRIMULE, AZALIE

Azalie... Tyle tego drogiego kwiatu sprowadzamy z zagranicy, tyle pieniędzy oddajemy obcom. A tymczasem w ciepłych szklarniach przy ul. Wolskiej uczniowie pielęgnują umiejętnie delikatne krzewy hodując kwiaty niezwykle piękności. Azalia to krzew delikatny po przekwitnięciu wyrzucamy ją na śmietnik, bo rzadko kiedy zdarzy się by za rok rozkwitła, ponownie.

Tu mieszkańcy zakładów im. Staszycy zwracają się z gorącym apelem do mieszkańców Warszawy: Jeśli macie przekwitłe azalie, nie wyrzucajcie je, lecz zwróćcie pod Nr. 6.25.52 zgłosić się do was chłopiec z

Fundacji i zabierze suchy, bezlistny krzew. Chłopcy pielęgnować będą azalie aż za rok pięknie zakwitną. Dochód z ich sprzedaży zasili kasę fundacji.

W warsztatach ślusarskich gdzie duszno jest wprawdzie i gorąco wśród zgryzoty pił i warczenia maszyn uczniowie wyrabiają metalowe cacka, wykonują meble, metalowe przedmioty zdobnicze, bransoletki, świeczniki i t. p. W stolarni znowu z pod hebla i strugarek wychodzą gotowe śliczne mebelki, wózki. Uczniowie wykonują nawet całe urządzenia wnętrz, a robota jest tania i solidna.

WŁASNY WARSZTAT

Śliczna kaplica z artystycznie wykonanym ołtarzem, którą oglądamy w fundacji jest też dziełem uczni.

Oczywiście, że są to wyjątkowo zdolni uczniowie. Po przebyciu 3-letniej praktyki w Fundacji wychowankowie fachowi: czeladnicy po zdaniu egzaminu przed komisją izby rzemieślniczej z pewnym kapitałem (około 500 zł.) mają możliwość założenia własnego warsztatu.

Kapitał, który uczniowie otrzymują przy opuszczeniu zakładu powstaje z oszczędności jakie robią przez 3 lata praktyki. Praktyka jest bowiem płatna. Uczeń przebywający w zakładzie, pracuje, dostając za to wynagrodzenie. Część tego wynagrodzenia idzie na koszty utrzymania, część zaś odkłada się aż powstanie kapitał.

W ten sposób wola i intencja Fundatora znajdują dziś dopiero należyte zastosowanie.

Naturalny środek przeciw obstrukcji
ZIOŁA PRZECZYSZCZAJĄCE
KARPIŃSKIEGO

Obrady prasy periodycznej

W r. ub. podjął działalność Komitet Prasy Periodycznej, utworzony przy Polskim Związku Wydawców Dzienników i Czasopism. Komitet zajmuje się całokształtem spraw gospodarczych, dotyczących, czasopism.

Pięć z rzędu plenarne posiedzenie Komitetu odbyło się w dniu 15 marca r. b. pod przewodnictwem prezesa Stefana Krzywoszewskiego. W obradach wzięli udział poza przewodniczącym Ludwiki Bormannowa (Pani Domu), Zygmunt Domański (Zycie Rolnicze), Stefan Heinrich (Przebieg Elektrotechniczny), Szczepan Jeleński (Tęcza, Przewodnik Katolicki), br. Wawrzyniec Podwapiński (Ryccerz Niepokalanej), dr. Franciszek Rodziewicz (Nowiny Społeczno-Lekarskie), Władysław Sawicki (Rolnictwo), inż. Jan Tuszyński (Techniczne Nowości Lotnicze), nadto i inni oraz wicedyrektor Związku p. Franciszek Głowiński i sekretarz Komitetu p. Jan Mokrzycki.

Inż. Tuszyński przedstawił zebrał przebieg prac nad organizacją sekcji prasy technicznej, które rokuja nadzieję na bliskie ukonstytuowanie się tej sekcji. Dr. Rodziewicz omawiał sprawę organizacji sekcji prasy lekarskiej.

Sprawy, związane z projektowaną przez rząd zmianą konstrukcji podatku przemysłowego, zreferował dyr. Głowiński. P. Mokrzycki omówił kwestię utworzenia centralnego punktu sprzedaży i prenumeraty czasopism w Warszawie.

Następnie prezes Krzywoszewski przedstawił zebrany projekt podjęcia akcji dokształcania zawodowego pracowników administracyjnych wydawnictw.

Omawiane sprawy były żywo dyskutowane przy udziale wszystkich obecnych. Ustalono wytyczne dla dalszych prac Komitetu.

Wystawa

Jana M. Szopińskiego

Istnieje u nas pewnego rodzaju nieporozumienie: Z jednej strony mamy wystawy plastyczne, na których malarze mogą się prezentować tylko po przejściu przez ocenę poważnego jury i z drugiej Salony prywatne, gdzie wystawia każdy, kogo tylko stać na opłaceniu iluś tan złotych tygodniowego czynszu. Spotykamy tu czasem rzeczy dobre lub tylko mierne, ale przeważnie poziom jest skandaliczny. I nie mogą się przeciw temu obronić nawet salony, mające dużą tradycję, jak np. salon Czesława Garlińskiego (Mazowiecka 8).

Nieporozumienie polega na tym, że publiczność i krytycy są sugerowani przez panów organizatorów tych wystaw, jakoby te salony były czymś więcej, niż sklepikiem, choć z całej ich działalności to właśnie najwyraźniejszy wynik.

Nieporozumienie jest groźne i dla wystawców, bo za malarza na pew-

nym poziomie jest uważany tylko ten, kto gdziekolwiek, raz przynajmniej, wystawiał. Złotymi ostrogami są duże oficjalne wystawy, na ogół jednak wystarczy Salon Garlińskiego lub chociażby Koterby. A przecież wiadomym jest powszechnie, że nie ma nic gorszego, niż dyktant o rozbudzonej i rozświetlonej ambicji apostoła sztuki.

Może z wystawą Jana Mariana Szopińskiego nie jest tak bardzo źle, jakby z powyższego wstępu wynikało, niemniej jednak te właśnie uwagi ogólne nasunęły mi się po obejrzeniu jego prac.

Są między nimi niektóre wcale dobre i sensowne, np. „Dawidgródek most” lub interesujący i ładnie rozwiązany w fioletowych tonach „Targ”. Ta całość jest dość szeroko traktowana, a możliwości kolorystyczne dobrze wykorzystane — przy tym autor zdobył się na wyjątkową jedność wypowiedzenia. W innych obrazach razi przesadna i pustą gadatliwość kolorem, tym więcej przykra, że w wielu wypadkach podkreślająca brak wszelkich zalet kompozycyjnych i rysunkowych.

Z obrazu, zatytułowanego „Konie” widać, że Szopiński czuje kolor, przy jednoczesnym nieopanowaniu strony technicznej, co mu, niestety, bardzo mocno przeszkadza.

Niewątpliwie najsłabszy jest „Starzec”. Zakomponowanie barwne głowy i tła pozostawia wyraźny miasmak.

„Fragment Szarzy” — nieciekawo i zdradzający zły gust malarza.

Wrażenie ogólne z wystawy nie pozwala na wypowiedzenie stanowczego zdania o Janie Marianie Szopińskim — może dlatego, że pokazano zbyt wiele jego prac, zgromadzonych prawdopodobnie bez żadnego wyboru. Są między nimi i dobre i tak duża ilość słabych, że dobre wydają się raczej na przypadek.

Szopiński nie jest, niestety, zjawiskiem odosobnionym.

Jerzy Stokowski.

PAMIĘTAJ O BEZROBOTNYCH NARODOWCACH

38-my testament Bernarda Shawa

„Dojrzałem już do pieca krematoryjnego”

Dowiedziawszy się, o śmierci d'Annunzia, Bernard Shaw chwycił za pióro. Jednak nie w celu napisania artykułu, sławiącego czyny zmarłego. Napisał on, jak sam mówi „testament Nr. 38”. Bowiem Bernard Shaw ma zwyczaj spisywania testamentu co roku. Nie wiadomo tylko, jak sobie z tym radzi, gdyż, jak się przyznać sam, nie wie dokładnie, ile wynosi jego majątek.

— Jak mógłbym wiedzieć — skarży się — skoro pracuję na najprzeróżniejsze podatki: narodowy, komunalny, obrony narodowej. Jest to, nawiasem mówiąc, los wszystkich obywateli państwa, Bernard Shaw jednak zwykle lubi się odróżniać od innych ludzi, więc też skarży się, jak gdyby te ciężary obowiązywały tylko jego.

Majątek Benrarda Shaw oce-

niany jest na 200.000 funtów szterlingów, to jest około 8 milionów złotych.

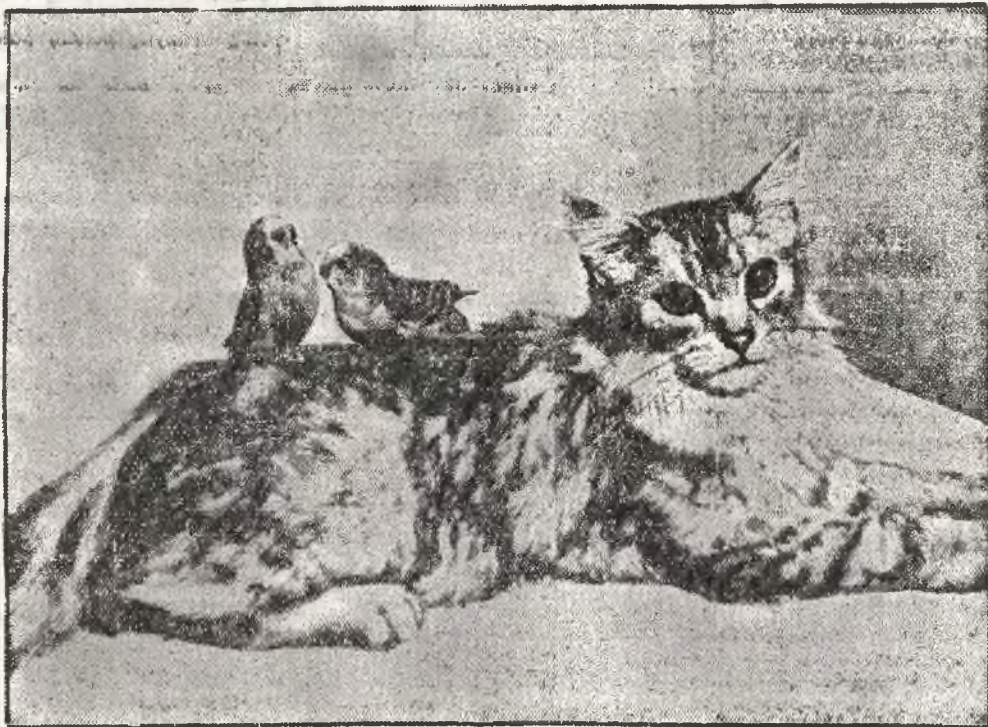
Bernard Shaw, który ma 82 lata, sam mówi, że już dojrzał do pieca krematoryjnego: „ku radości wielu”.

Ostatnia wola Nr. 38 Bernarda Shaw nie obdarza nikogo z jego rodziny. „Młodym nie należy zapisywać majątku. Uczynić to, to oddać im złą przysługę, nie powinni bowiem liczyć na żadne spadki, jedynie na własną pracę. Starcom też nie nie pozostawiam. Starzy ludzie nie powinni już też żywić żadnej nadziei. Krótko mówiąc, nie zostawiam nic nikomu z żyjących”.

Tak rozprawiwszy się ze swoją rodziną, Bernard Shaw w testamentem swym tworzy fundację, która ma strzec czystości je-

zyka angielskiego i jego wymowy. Odsetki od kapitału, jaki zostawi pisarz angielski, będą przeznaczane na popieranie i finansowanie wszelkich prac z tej dziedziny.

Przyjaźń



Nagrody literackie

W Poznaniu nastąpiło rozstrzygnięcie i ogłoszenie wyników konkursu jubileuszowego drukarni i księgarni św. Wojciecha w Poznaniu na powieść, zorganizowanego z okazji 40-lecia istnienia firmy.

Trzy pierwsze nagrody zdobyli: w dziale „a” (powieść przeznaczona do druku w „Przewodniku Katolickim”) Wanda Miłaszewska za powieść „Bogactwo”. W dziale

„b” (wydawnictw książkowych) sąd konkursowy zamiast 1-ej, 2-ej i 3-ej nagrody przyznał dwie równoznaczne nagrody 1-sze: Juliuszowi Znanieckiemu za powieść p. t. „Michał” i Zofii Bogdanowiczowej za powieść p. t. „Droga do Dauge Daugiel”. Każda z tych nagród wynosi 4.000 zł.

Ogółem na konkurs przyjęto i przeczytano 260 utworów.

JACEK BRZEZINA

47)

PERŁY I KARABINY

POWIEŚĆ

— Naturalnie, naturalnie... — Gibson wydawał się być nieobecny myślami. — Tak! Naturalnie, że należy się interesować podobnymi ludźmi... Ale... kto panu ułatwił ucieczkę? — Myślałem, że powinien pan lepiej wiedzieć od mnie. Uciekiem na pewno nie przy pomocy owego beya. Tak jakoś szczęście mi posłużyło...

— Widzę, że pan jest wielkim szczęściarzem, bardzo to przyjemnie. Więc to nie Karim bey... To się zgadza. Niech pan pamięta o tym! Nie on pana uratował!!!

Po wyjściu agenta brytyjskiego Stanley przez dłuższą chwilę leżał bez ruchu, zastanawiając się nad całą rozmową.

„Co ten Gibson właściwie chciał? Nic nowego przypuszczałem ode mnie się nie dowiedział, po co więc przyszedł? By podkreślić, że mam mówić, iż to nie Karim bey mnie uratował? Ależ to się samo przez się rozumie, że nie będę tego opryszka nazywał bohaterem. A może Gibson po prostu ma zamiar wpakować mnie do paki i czeka tylko, aż wstanie z mego łóża boleści... To wyglądałoby prawdopodobnie. Wie przecież chyba wszystko o mnie...”

Nareszcie pod wieczór zjawił się Kłopot.

Stanley powitał go grymasem twarzy, który mógł znamiować zarówno bezgraniczną wściekłość, jak i radość.

De facto była to jednak radość. Śmiejąca się wszystkimi szczegółami, inteligentna twarz Kłopoty, dodawała otuchy po niezbyt sympatycznych chwilach, spędzonych z dotychczasowymi gośćmi.

Zresztą z Kłopotem można było o wszystkim rozmawiać, nie wyliczając Margaret Landon!!!

— Już byłem pewien, że dał pan drapakę z moim trans-

portem — zaśmiał się, ściskając prawicę Polaka. — Długo czekał pan czekać na siebie!

Kłopot nie wydał się być zasmucony naganą.

— Chciał pan, bym się tutaj pierwszy pchał i by ludzie z tego powodu zaczęli jakieś plotki rozsiewać? Musiałem odczekać, aż doktor Baad pozwoli odwiedzać pana, no i aż nie które tutejsze grube ryby uczynią to przede mną. Tak etykieta i rozsądek nakazywały!

— A mnie tymczasem ciekawość zabijała!

Kłopot usiadł na łóżku i nachylił się nad Stanleyem:

— Wszystko nadzwyczajnie gładko poszło!

— Nie powiem, jeżeli o mnie chodzi — mruknął Stanley. — Jeszcze teraz tę gładkość w kościach czuję!

Kłopot posmutniał.

— Mam wyrzuty sumienia w stosunku do pana. — Wyciągnął z kieszeni papier i pokazał go Stanleyowi. — A to na osłode ciężkich chwil. Pokwitowanie odbioru broni. Myślałem, że mnie ucałują te brudne beduiny, gdy im ją przywożem. Są widać w wielkiej potrzebie. Pozwoliłem sobie wobec tego dać znać w imieniu pańskim Gordonowi Cannin-gowi, iż zapotrzebowanie jest większe, niż tego należało się spodziewać. Przypuszczam, że w związku z tym następny transport wystarczy na wybić wszystkich niezadowolonych z polityki czy rządów Jego Królewskiej Mości króla Arabii Ibn Seuda!

— Skądże pan wiedział o Gordonie?

— Niewielka sztuka! Kto by o nim nie słyszał, szczególnie tutaj... Wracając jednak do rzeczy. Transport dowiozłem okrętami w znane mi miejsce, gdzie czekała już karawana i wszystko w jak najlepszym stanie odstawiłem do punktu przeznaczenia. Naturalnie swoje karabinki, według umowy, także! Proszę się jednak nie bać, nie robią one panu zbyt wielkiej konkurencji. To mniej więcej jest tak, jakby kto do wagonu angielskich jablek dołożył jedną skrzynkę polskich... — W każdym razie, gdybym ja nie wziął sobie na kark wahabito, nie tak łatwo by się panu udało. Zajeżdżał pan wygodnie na miejsce, interesak załatwił, zjadł kolację i wrócił do betów, a ja tymczasem mały głowę nie straciłem, a do tego, by moje pięty w przypiekane kotlety zamieniono, niewiele już brakowało!

Kłopot skrzywił się.

— Trudno! Widzi pan, od samego początku zadanie całej polegało na tym, by odwrócić uwagę naszych wrogów od właściwej drogi transportu. Tego tylko pan mógł dokonać... Komu by się chciało na przykład mnie ścigać po pustyni? Chyba głodnym szakalom... Swoją drogą wciągnąłem pana w większą kabałę, niż przypuszczałem. Ale niech mi pan opowie o wszystkim. Mnie też ciekawość gnębi, a i razem może jakoś łatwiej odpowiemy sobie na niektóre pytania.

Stanley zdał dokładną relację ze swoich perypetii, uważając za rzecz zupełnie możliwą, że chłopski rozum Kłopoty łatwiej wyciągnie pewne wnioski, podchodząc do rzeczy bezpośrednio.

Polak milczał, drapiąc się z namysłem za uchem.

— Ciekawe! Bardzo ciekawe... O Karim beyu słyszałem i sądząc z jego obecności u wahabito, zaczynam przypuszczać, że coś się na pustyni gotuje... Wahabici potrzebują na gwalt broni. Ibn Seud bierze ją od nas, a niektórzy z jego poddanych nie biorą jej od niego, więc widocznie potrzebują jej na walkę z nim, a zatem i z jego protektorką Anglią! Ciekawe... Już dawno zaobserwowałem dziwny ruch wśród Arabów. Zdawałem sobie sprawę, że coś nastąpi, jednak nie obchodziło mnie to wiele... I ten Karim bey... Uczy ich widocznie sztuki wojowania ze swoimi rodakami... Odszczepienie, czy jaki inny diabeł?

— Więc pan przypuszcza, że gotuje się jakaś anty-angielska ruchawka?

— Teraz jestem tego prawie pewien. Konkurująca z nami firma dostarcza broni przyszyłym buntownikom. Dostarcza jej wprost lub za pomocą denuncjowania pańskich transportów. Z jednego kota ściągają dwie skóry! Ibn Seud będzie miał mniej broni — a oni więcej... Naturalnie wszystko odbywa się w tajemnicy i ciekaw jestem, czy Anglicy domyślają się czegoś? Sądząc z pańskiej rozmowy z Gibsonem, to ten cwaniak coś wie, tylko na dyplomatyczną modłę udaje Greka... a Emir też na pewno gruszkę w popiele nie zasypuje. Tylko to wszystko tajemnica, tajemnica... Trzeba by się jednak tą sprawą bliżej zainteresować!

(D c. n.)